

Do szuflady

AUTOR: KALINA ZALEWSKA

W „reżimowej” telewizji powstało „antyreżimowe” przedstawienie. Ciekawe, z bardzo dobrymi rolami Przemysława Stippy, Grzegorza Małeckiego i Marty Ścisłowicz. Tzw. mainstreamowe media na wszelki wypadek nic o nim nie napisały.

■ Do pisarza przychodzi urzędnik państwowy. Przymilny, nadskakujący artyście. Opowiada o pomysłach uproszczenia języka, w następstwie likwidacji znaków diakrytycznych. Wydaje się, że to żart albo luźna myśl, którą dzieli się podczas towarzyskiej konwersacji, wkrótce jednak wyciąga z teczek okólniki z odpowiednimi paragrafami. Jest jasne, że decyzja w tej sprawie już zapadła. To nie żadne konsultacje społeczne czy niezobowiązujące rozmowy przy drinku, który popija artysta. To zakaz dawnego zapisu na rzecz nowego – prostszego, niesprawiającego kłopotu, idącego z duchem czasu. A kiedy pisarz nadal wzdryga się przed zmianami, ten informuje go, co wyniknie z dalszego oporu. Jak to najpierw zabiorą mu maszynę do pisania, a potem ani jego powieści, ani informacje o nim nie będą się ukazywać.

Jeszcze mamy nadzieję, że wszystko jest fantazją pisarza. Rzecz rozgrywa się w jego mieszkaniu, jednak dziwnie przestronnym, wyposażonym jedynie w kilka sprzętów. W telewizyjnym studio stoją także betonowe słupy, kiedy trzeba imitujące drzewa, służące Piotrowi Wojtowiczowi przede wszystkim do prezentacji efektownych jazd kamery, sugerujących dystans bohatera wobec innych i fakt, że sporo dzieje się w jego głowie. Twórcy słusznie uciekają od małego realizmu i zamknięcia scenicznych wnętrz – w stronę umowności, otwartej przestrzeni i uniwersalizmu. Przedstawione wydarzenia są rzeczywiste. Pojawia się bowiem żona, z którą bohater rozmawia o wizycie urzędnika.

Sytuacja dokładnie jak z Mroźka. Jej absurd sprawia, że pisarz nie ma szansy na dobry ruch. Tyle że tym razem przedmiotem zainteresowań autora sztuki i reżysera przedstawienia jest krytyka nie realnego socjalizmu, ale naszej epo-

ki. Bohater co prawda wystukuje swoje powieści na maszynie, ale to jego kaprys – wkrótce poprosi żonę o laptopa. Jak można utajnić informację w dobie Internetu? Jeśli nie nada się jej odpowiedniego rozgłosu, zginie wśród tysięcy innych. Sieć też jest kontrolowana, nawet media społecznościowe, łudzące użytkowników absolutną wolnością wypowiedzi, nie są ani wolne, ani neutralne, a angażując się w kampanie polityczne, dowodzą, że wolą jedne tre-

się Marta Ścisłowicz. Żona pracuje w szpitalu, gdzie prowadzi pacjenta zachowującego się podobnie jak jej mąż. To reżyser filmowy, który, mimo sporych sukcesów, odmawia uczestnictwa w tak skonstruowanym świecie. Może zatem tak się objawia ból istnienia nadwrażliwych artystów? Zachowanie żony paradoksalnie jednak potwierdza zasadność sprzeciwu obu mężczyzn. Myśli ona podobnie jak oni, tylko inaczej na to reaguje. Staje po stro-

Przymilny urzędnik Małeckiego to postać jak z Mroźka, która dopiero w finale pokazuje drugą twarz. Pisarz Stippy odgrywa frustracje na żonie, co równoważy jego niezłomność. Żona Ścisłowicz walczy o męża, ale chwilami ma go serdecznie dosyć.

ści od drugich. Dlatego śmierć cywilna to wciąż realna groźba. Zwłaszcza dla pisarza, który traci wtedy czytelników i kontakt z nimi. Sytuacja nie jest więc abstrakcyjna, trudna do rozpoznania – choć jest absurdałna.

Interpretując ją, można na przykład myśleć o presji politycznej poprawności. Neoliberalny kształt demokracji całkiem otwarcie propaguje pewne mody, wszczyna kampanie, narzucając nowe normy, a potem je egzekwując. O tym zapewne kilka lat temu napisał swój dramat Jarosław Jakubowski. Reżyser Artur Tyszkiewicz zobaczył jednak w opisanej przez autora opresji – zbytnią ingerencję państwa w kulturę. Skrót w tekście, sposób rozłożenia akcentów, a przede wszystkim prezentacja siły mediów w końcowych partiach spektaklu – przechyliły rzecz w tym kierunku.

Pisarza gra Przemysław Stippa, urzędnika Grzegorz Małecki; w postać żony wciela

nie życia i własnego związku. Wymyśla domek z widokiem na jezioro, marzenie małżonków – jako wartość, dla której warto pójść na kompromis, a jednocześnie panaceum, które ten kompromis wynagrodzi. W głębi duszy pisarz nadal jednak upiera się przy dawnym zapisie i dawnej wymowie języka. I coraz częściej myśli o tym, by pisać potajemnie, jak to się kiedyś mówiło – do szuflady.

Jakubowski to autor słynnego *Generała*, wystawionego w 2011 roku w Teatrze IMKA, w reżyserii Aleksandry Popławskiej i Marka Kality, z kapitalną rolą tego aktora. *Generała* zarejestrowanego dla TVP, ale wyemitowanego siedem lat później, który niezwykle długo czekał na telewizyjny pokaz (w nowych czasach to chyba rekord w przeciąganiu terminu!). Jakubowski wie zatem z autopsji, jakie przygody spotykają autorów, kiedy poruszą temat zasadniczy, a przy tym niewygodny. Także

TEATR TELEWIZJI

Znaki

Jarosława

Jakubowskiego

scenariusz, reżyseria

Artur Tyszkiewicz

scenografia, kostiumy

Aleksandra Gąsior

muzyka

Borys Kunkiewicz

zdjęcia

Piotr Wojtowicz

premiera

1 kwietnia 2019

Grzegorz Małecki,
Przemysław Stippa

fot. Natalia Młodzik / TVP

omawiane *Znaki* powstały już jakiś czas temu, wydane w 2017 roku, w tomie *Prawda i inne dramaty*. Samą *Prawdę* wyreżyserował w „Teatrotece” Adam Wojtyszko, ale spektakl, tak jak całą serię, prezentowaną sporadycznie na rozmaitych festiwalach, można obejrzyć tylko w sieci. W teatrach instytucjonalnych z kolei Jakubowski nie jest wystawiany, bo środowisko teatralne w przytłaczającej części myśli inaczej niż on. Gdyby swojego czasu Popławski i Kalita nie wykazali się odwagą i zdolnością przekraczania takich granic – *Generał* prawdopodobnie nie zaistniałby publicznie. Jakubowski więc poniekąd znajduje się w sytuacji swego bohatera – może pisać, a nawet wydawać dramaty (nakładem ADiT-u ukazały się już dwa tomy), ale niezwykle rzadko może je obejrzyć. Jeśli pisze się akurat na scenę, jest to rodzaj śmierci cywilnej.

Konstatacji, że absolutna wolność przekonana jest w naszym świecie niemożliwa, towarzyszy w *Znakach* powrót poetyki teatru absurdu. Taka forma jest nie mniejszym zaskoczeniem niż sam temat, choć wyjątkowo do niego pasuje. Pisarz Jakubowskiego znajduje się bowiem w sytuacji Józefa K. z *Procesu* Kafki albo Bérengera z *Nosorożca* Ionesco. Otaczający go świat wywiera silną presję, której ten nie chce się poddać. Autorzy tego gatunku, dla którego początków szukano w prozie Kafki, podobnie jak sam mistrz nie definiują tej presji dokładnie, tworząc model uniwersalny i ponadcz-

sowy. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku w krajach socjalistycznych rozumiano ją na przykład inaczej niż na Zachodzie. Dziś zresztą jest podobnie, choć granicy nie wyznacza już żelazna kurtyna. W każdym z państw demokracji zwolennicy jednego jej kształtu walczą ze stronnikami innego, a twórcy – często angażujący się w życie polityczne – na różne sposoby definiują wywieraną na nich presję.

Ostatnie inscenizacje *Procesu*, w reżyserii Krystiana Lupy, i *Nosorożca*, którego Artur Tyszkiewicz wystawił kilka lat temu w stołecznym Dramatycznym, ostrzegały przed rosnącą kontrolą państwa, rade chronić się przed nią w Strasburgu, choć tekst Ionesco ledwo wytrzymał tę interpretację. Czy zatem *Znaki* można czytać podobnie? Czy urzędnik może być tu wysłannikiem opresyjnego państwa kontrolującego demokrację, a twórca ostatnim inteligentem broniącym wolności wypowiedzi? Telewizyjny spektakl dowodzi, że tak. Dziś reżyser widzi przede wszystkim to zagrożenie. Pismo, jakie urzędnik przynosi pisarzowi, które przez chwilę mignęło na ekranie, podpisane było dość naiwnie, ale za to czytelnie: Ministerstwo.

Choć urzędnik mógłby pojawić się tu jako wysłannik państwa skłonny uprosić zapis, a nawet wymowę własnego języka, w imię globalistycznej unifikacji. A używający maszyny do pisania literat okazać się zawaolowaną fi-

gurą konserwatysty, broniącego znaków diakrytycznych jak ostatniej reduty zdrowego rozsądku i – jakby to źle dziś nie brzmiało – patriotyzmu. Obrona „ę” i „ą”, zamiast dużych flag powiewających na wietrze, podczas Marszu Niepodległości? Ostatni szaniec broniący nas przed zalewem idiotyzmu nowego świata – celowego mieszania różnych porządków i upraszczania sensów, nowych świąt w miejsce tradycji rzeczywistej, tendencyjnie kwestionowanej, podcinania własnych korzeni, żeby zatriumfowało nowe: mniej od nas wymagające, niezbyt mądre, za to świeżo obstalowane.

Jednak to reżyser ma ostatnie słowo i wolność wypowiedzi. Takim to sposobem w „reżimowej” telewizji powstało „antyreżimowe” przedstawienie. Ciekawe, z bardzo dobrymi rolami trójki aktorów. Przymilny urzędnik Małeckiego to postać pyszna, jak z Mroźka, która dopiero w finale pokazuje drugą twarz. Pisarz Stippa natomiast, odgrywając swoje frustracje na własnej żonie, prezentuje silny egocentryzm, co równoważy jego niezłomność. Ścisłowicz pokazuje kobietę, która walczy o swego męża, ale chwilami ma go serdecznie dosyć i myśli o zdradzie. Okazało się, że tekst jest uniwersalny, co dobrze świadczy o jego klasie. A że nie został zrozumiany tak, jak zapewne chciał autor – trudno. Może na to jeszcze za wcześnie i trzeba odczekać, jak w przypadku *Generała*? ■